

Samosierra pod Giewontem

Autor: Zygmunt Skibicki
15.12.2008.

Wczesnym wrześnieowym popołudniem zszedłem do schroniska na Hali Kondratowej. Mała jadalnia zwolna pustoszała. Zbliżał się wieczór. Ostatni turyści szybko dopijali herbatę ze stygnących kubków i chyłkiem znikali w mgławej przestrzeni na zewnątrz. Odgłosy ich nawoływań stawały się głuche i szybko cichły. Częsty o tej porze mokry i brejowaty śnieg leżał dopiero od kilku dni. Było go mało i nie zdążył zniechęcić zakopiańskich letników do spacerów po szczytach. Jeszcze mieli nadzieję, że całkiem stopnieje i powróci letnia pogoda.

Właśnie ze względu na ten śnieg przyjechałem tu na kilka dni. Turystów pieszych powinno być coraz mniej a narciarzy jeszcze długo nie będzie. Wykalkulowałem dobrze. W tym maleńkim schronisku, gdzie w sezonie z powodu permanentnego tłoku sypiałem bywało na podłodze, na ławie, pod ławą a raz nawet na schodach, tego dnia okazałem się jedynym nocującym poza właścicielami i obsługą. W kominku, niegdyś jedynym poza kuchnią źródłem ciepła, błyskała przykryta szczapkami żarówka. Obydwie zatrudnione tu dziewczyny pod czujnym okiem szefowej myły zaklejoną lakierem boazerię. Zachlapanym emulsją kominek też dostał należną mu porcję mydlin. Wieczorny kubek herbaty dopijałem przy ostatniej zapalanej w jadalni żarówce. Chyba zatrzymałem personel przy pracy, bo gdy tylko poszedłem do sypialni cała dwuosobowa załoga cicho przedreptała do swojej izdebki.

Zawinięty w koce nasłuchiwałem. Początkowo w oddali, później coraz bliżej schroniska jelenie odbywały coroczny rytuał rykowisk. Ściany z solidnych bali zdawały się w ogóle nie tłumić dźwięków. Niektóre podniecone samce przebiegały z szurgotem kamieni przez szerokie przy schronisku, ogołoczone z trawy ścieżki i wtedy całkiem zatracalem poczucie jakiegokolwiek oddzielenia od nich. W pewnym momencie, kiedy wszystko prawie ucichło, a ja chyba już zapadałem w sen, doszedł mnie odgłos blisko walącej się konstrukcji drewnianej i rumor chyba sporych, przetaczających się głazów. Nie odczułem jednak żadnego drgnięcia budynku. Historia tego schroniska pamięta także wielką lawinę kamienną. Wielki głaz tej lawiny, który zatrzymał się o dwa metry od narożnika jadalni jest niewątpliwym dowodem nieprzewidywalnej potęgi sił przyrody i niebywałego szczęścia mieszkańców. Poprzednią noc spędziłem w pociągu i cały, choć krótki dzień łąziłem z plecakiem po dolinach. Spektakl za ścianą długo nie pozwalał zasnąć, ale przecież spodziewałem się go planując ten nocleg.

Obudziłem się nieprzyzwoicie późno. Właściwie to obudziły mnie głosy obu pracownic ustawiających wielki drogowskaz szlakowy obok schroniska. To on runął nocą pod naporem jelenich chuci. Głazy wielkości wiadra, które go przytrzymały, leżały teraz poodrzucane o dobrych kilka metrów. Tuż nad dachem schroniska zaczynała się dolna granica gęstej mgły. Nie widziałem nawet skrawka skalistego stoku. Na ziemi biało, w górze biało, na wprost zamglone, ośnieżone drzewa – Mazury zimą - cholera! W nocy spadł świeży śnieg. Niedużo, ale kolejnych kilka centymetrów skutecznie zniechęcało do wyższych eskapad. No, przynajmniej przed południem.

Z pozorów obrzydliwe celebrowanie śniadania w dniach psiej pogody jest umiejętnością, której nabywa się po wielu latach górskich wędrówek. Znam starszego górolaza, który uparcie dowodzi, że jest to nawet sztuka. Kiepska pogoda zdarza się w górach często, a w Tatrach dłuższe okresy dobrej, turystycznej pogody są rzadkie. Kiedy taka kicha pogodowa trafiała mi się trzydzieści lat temu, wściekałem się na wszystko bez wyjątku co się na myśl nawinęło, a nawijało się sporo. Kończyło się różnie: od pełnej rejterady w doliny poprzez wszystkie możliwe pomysły z obwinianiem towarzyszy niedoli włącznie, aż do desperackich prób wejścia mimo wszystko na cokolwiek, byle nie czuć się pokonanym, a właściwie – byle uczciwie poczuć własne dokonanie. Kolejność jest tu też niewłaściwa, te rejterady następowały dużo później. Na początku była oczywiście fanfaronada. Potem przychodziły etapy niemal pełnokrwistych nerwic z relanium włącznie. Kiedy wreszcie poczytałem nieco o kulturach Wschodu, medytacjach, akupresurze i w ogóle nauczyłem się poważnie myśleć o sobie samym, zacząłem próbować tych sztuk na sobie. I to skutkowało. Skoro można oddziaływać na własny ból głowy, chrypkę czy depresję, to można i na górskie, deszczowe nastroje. Proste zajęcie, które można wykonywać nieskończenie długo jest wtedy niezastąpione. To tak jak strajk włoski na samym sobie, jakby zwolniony metabolizm - taka hibernacja czynnościowa. Jak się to zastosuje, brakuje czasu na długą wycieczkę, jest go za mało na średnią, wystarcza tylko na mały spacer przy schronisku, a przy dużej wprawie wręcz na krótkie przewietrzenie się przy otwartym oknie. No i nie dręczy nurtujące poczucie winy, że zmarnowało się dzień albo nawet cały urlop.

W czasie tak sączącego się śniadania postanowiłem odbębnić obowiązkową urlopową korespondencję. Ileś razy trzeba napisać te same co roku pozdrowienia z... Na szczęście dla upartego tatrołaza co roku są inne widoki na widokówkach. Kiedy w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku naklejałem znaczki, postanowiłem znieść te kartki do Kuźnic. Właściwie to miałem ochotę na piwo. Na Kondratowej panuje przecież od zawsze ortodoksyjna prohibicja. W bufecie da się kupić, lub skutecznie poprosić o kupienie na

dole prawie wszystkiego poza jakimkolwiek alkoholem i papierosami.

Do samych Kuźnic szedłem po zupełnie dziewiczym nocnym śniegu, ale wracając doganiałem liczne grupki osób pracowicie pchających się w górę. Cóż, pogoda pozwalała na spacer do Kondratowej, ale z głośnych rozmów wynikało, że celem większości był Giewont. Wyprzedziłem ponad setkę osób z czego tylko cztery osoby poruszały się sprawnie, co niekoniecznie znaczy szybko i były wystarczająco, choć skromnie wyposażone. Szczytową pomysłowością wykazała się jejmość w wieku „późny Balzak” ubrana w cienkie szerokie spodnie i tandetne, chińskie ale za to nowiutkie tenisówki. Ubrała te tenisówki na skarpetki zawinięte w woreczki foliowe. W tej sytuacji jej foliowa peleryna na spacerowej wiatrówce rozczarowywała brakiem dowcipnego konceptu. Zdziwiłem się mocno kiedy weszła do jadalni schroniska. Sądziłem, że zawróci dużo wcześniej.

W jadalni wrzało. Tłum kłębił się wokół maleńkiego baru. Okna zaparowały zupełnie i nie straszyły już widokiem na kiepską aurę. Na podłodze topniał śnieg wniesiony na butach tworząc wielkie kałuże. Stoły zastawione nie odniesionymi naczyniami po skończonych posiłkach co chwila sprzątała któraś z dziewczyn, bo w kuchni brakowało naczyń i sztućców. Ktoś włączył głośno charczący tranzystor. Horror. Wyszedłem na pustawy taras. Lekki wiatr spychał mgłę w dolinę. Termometr wskazywał jeden stopień powyżej zera.

Postawny przewodnik zgarniał zgrabną grupkę i z powagą przekonywał ich do zmiany planów. Przy takim zaśnieżeniu i zamgleniu wejście na Giewont jest zwyczajnym dopominaniem się o duże kłopoty, albo nawet o śmierć. Zamiast na Giewont proponował wycieczkę na Kopę Kondracką. Na szczęście poskutkowało argumentem wysokości. Kopa Kondracka jest sporo wyższa od Giewontu. Najbardziej oponowała owa paniusia w chińskich tekstyliach. Wreszcie ktoś zauważył, że ona nie należy do ich grupy. To jej także nie speszyło. Zrezygnowała dopiero gdy zapadła decyzja o zmianie celu wycieczki na bardziej bezpieczny, a może tylko mniej ryzykowny. Widziałem ją jeszcze jak doczepiła się do jakiegoś towarzystwa zdecydowanie kierującego się na Giewont. W każdym bądź razie poszli szlakiem na Przełęcz Kondracką.

Gęstniejąca mżawka zeszkliła śnieg w gruby ryż. Chlapa na całego. Nawet nie dało się usiąść. Stałem tak i patrzyłem na kolejne grupy odchodzące w górę. Naprawdę tylko kilka osób skierowało się w dół.

Obrazki były mało śmieszne, a chwilami przerażające. Trudno oceniać kondycję człowieka, który przechodzi obok i widzi się go tylko przez chwilę, ale jego ubiór i sposób poruszania się w tych niemal ekstremalnych dla mieszczucha warunkach wiele mówi o rozsądku delikwenta.

Królowała goła głowa, lub co najwyżej cienki kaptur – wełnianej czapki nie widziałem. Letnia wiatrówka zapinana na guziki a w najlepszym wypadku krótka skórzana kurtka była najliczniej reprezentowana. Najlepsze spodnie na taką wyprawę zdaniem większości to oczywiście jeans. Spódnica i cienkie rajstopy miały kilka reprezentantek. Buty głównie typu „bazarowy adidas”;, kilkunastu elegantów w miejskich półbutach, kilka zaledwie osób w czymś wyższym na bieżniku – u nikogo nie zauważyłem rękawiczek. Modny w tym roku fioletowy kolor foliowych peleryn był rzeczywiście dominujący. To, że nieodpowiednio ubrani rodzice ciągnęli ze sobą także źle wyposażone dzieci, nie dziwiło mnie nigdy.

Wreszcie zacząłem wyluskiwać z całej kawalkady osoby wyglądające na dobrze przygotowane do wycieczki w eksponowane i ośnieżone skały wapienne na wysokości 1900 metrów w czasie utrzymującego się od kilku dni załamania pogody. Meteo z Kasprowego potwierdzało silny zachodni wiatr w porywach ponad 25 metrów na sekundę. Nie licząc kilku przewodników wycieczek z ponad trzech setek osób naliczyłem tylko kilkunastu turystów. Reszta w większości nie powinna w taką pogodę nawet dochodzić do tego schroniska, a dla ponad połowy Kuźnice winny być zdecydowanie nieprzekraczalną górną granicą spacerów.

Wszedłem do buzującej jadalni. Byłem za mało głodny żeby w takim hałasie coś zjeść, ale nawinęła się dziewczyna ze stertą brudnych naczyń. Po chwili przyniosła na górę cały obiad. Herbatę zalaną schroniskowym wrzątkiem piłem znowu na tarasie.

Mgła jakby ustępowała. Grani jeszcze nie było widać, ale stoki owszem. Zamiast mżawki pojawiła się drobniateńka śnieżna kaszka. Z każdą minutą robiło się coraz jaśniej. Wreszcie pokazał się kawałek nieba. Co chwila dziury w mgle odsłaniały niebo, kawałki stoków a nawet odcinki grani na tle czystego nieba. Kierunek wiatru zmienił się na północno zachodni. Najważniejsze, że ponad mgłą nie było chmur. Słońce docierające do tarasu szybko osuszało deski. W pewnej chwili dostrzegłem ośnieżoną grań w pełnym słońcu od Suchego Kondrackiego aż po Kopę Kondracką. Odczekałem jeszcze dobre pół godziny – pogoda nie pogarszała się.

Mały plecak spakowałem w minutę: aparat fotograficzny, kijki, stuptuty, skafander, opaska, okulary słoneczne, komórka - resztę miałem na sobie. Wszelkie inne drobiazgi zawsze trzymałem w kieszeniach plecaka. Wrzątek do termosu z kawą i dwie bułki z wędliną dostałem w bufecie. Podeszedłem tak zdecydowanie, że kolejka nie zdążyła zaprotestować.

Oстрыm krokiem przemierzałem w skos dno doliny. Leżący śnieg był tak nawodniony, że grubo rzeźbione podeszwy przy każdym stąpieniu dochodziły do skały. Kiedy ścieżka zaczynała ostrzej się wznosić rozpiąłem polar pod szyją. Drobnopadający, suchy śnieg osypywał się z bluzy nawet jej nie mocząc.

Zapewne, tam gdzie śnieżynki zamarzały, był solidny mróz. Niebo na przemian przejaśniało się i zasnuwało na nowo.

W połowie stoku przystanąłem uważnie się rozglądając. Ścieżka szlaku była dobrze widoczna i nie miałem żadnych wątpliwości co do terenu. Niepokoiła mnie pogoda. To co do tej pory brałem za mgłę, to były chmury. Przewalały się przez Przełęcz Kondracką i szybko pędziły w stronę Goryczkowych. W ciągu kilku minut widoczność znów spadła do kilkunastu metrów. Musiałem się liczyć z koniecznością nagłego odwrotu - to zawsze jest przykre. Może choć do grani da się wejść. Spora grupa musiała wchodzić przede mną. Nikt się jeszcze nie wycofywał. Tak przynajmniej wskazywały ślady.

Nagle z waciatej przestrzeni wyłoniła się postać. Dobrze ubrany i pewnie stąpający młodzian schodził szybko. Tam, gdzie stałem robiło się chłodno. Widocznie ucieszony spotkaniem odpowiedział na pozdrowienie, zatrzymał się i szybko informował: - na grani wieje opętańczo, co chwila widoczność gaśnie do zera; był na Kopie, ale nie miał pewności czy dotarł do szczytu; dotarł do miejsca, skąd w każdą stronę było w dół - słupka granicznego jednak nie odnalazł. Nie nastrajało to pozytywnie, ale każdy ma swoją drogę. On poszedł w dół...

Wiatr narastał z każdą chwilą. Szczelnie zapiąłem dopiero co włożony skafander. Pod samą granią dotychczasowy szum wiatru przechodził w jednostajne wycie. Stała tam grupka turystów wyraźnie szykująca się do zejścia. Jeśli oni w takim miejscu odpoczywali, to tam gdzie się zmęczeni musieli być jeszcze ciekawiej. Nawet nie dało się porozmawiać. Pozdrowiłem ich tylko podniesieniem ręki i skrzyłem ku Kopie. Ku mojemu zdziwieniu po kilkadziesiąt metrów wiatr jakby osłabł. Nad głową zrobiło się znacznie jaśniej. Wreszcie dało się coś zobaczyć. Widoczny chwilami szczyt Kopy kopcił pióropuszem śniegu wprost w moją stronę. Teraz dopiero całkiem zrozumiałem co się dzieje. Odchodząc od przełęczy schowałem się za stokiem i dlatego wiatr wydawał się słabszy.

W dalszym ciągu planując powrót tą samą drogą uporczywie piąłem się do góry. Wpatrzony w strugę śniegu porywanego z wierzchołka spodziewałem się strasznej tam wichury. Warstwa białego puchu pod nogami była tak gruba, że nigdzie nie widziałem już gołej skały. Nawet nie zauważyłem kiedy zgubiłem ślady poprzedników. Zresztą przy takim wietrze ślady giną w kilka minut zawiane świeżą warstwą. Przygotowany na uderzenia wiatru wszedłem na szczyt uzbrojony w kijki. Tu wreszcie mogłem odwrócić się tyłem do wiatru. Całkowicie zaskoczony zobaczyłem wspaniały widok. Wszystko było widoczne od Giewontu przez Goryczkowe, Kasprowy, Granaty, Swinicę aż po oddzielone ogromem Doliny Cichej pasma słowackie. Dno Doliny Kondratowej z jej maleńkim schroniskiem było jak na bardzo odległej dłoni. Przez moment widziałem nawet odległe o kilkanaście kilometrów Murzasichle. Wszędzie dookoła na niebie były wielkie, kłębiaste chmury. Tylko nad samymi Tatrami przemykały nieliczne, drobne kłaczki, ale za to z wielką szybkością. Zaskakująco wspaniała widoczność mogła skończyć się w ciągu paru minut. Zrobiłem szybko kilka zdjęć.

Te wspaniałe widoki na tyle poprawiły mi nastrój, że postanowiłem schodzić na Przełęcz Kondracką dalej niemal na wprost napierającemu wiatrowi. Śnieg po tej stronie stoku był bardzo mocno zbity. Jeszcze nie wymagał raków, ale bez kijków nie miałbym szans na bezpieczną drogę. Bardzo obawiałem się silnego zwężenia grzbietu, gdzie mógł być przy aktualnym wietrze duży i trudny do obejścia nawis. Obawy były uzasadnione tylko częściowo. Nawis był rzeczywiście duży i wyprowadzający wprost nad olbrzymie urwisko, ale po zachodniej stronie dało się go obejść. Trzeba było wyjść na znaczną boczną stromiznę i ostrożnie posuwać się trawersem nad Doliną Małej Łąki. Ten odcinek nie miał więcej niż pięćdziesiąt metrów, ale po jego przejściu czułem pot na plecach. Takiego potu nie zdoła odprowadzić od ciała żaden polar i żadna membrana. Dalej, aż do przełęczy było szeroko, lekko w dół i słonecznie oraz co najważniejsze już znacznie ciszej.

Na górujący stąd Giewont nawet nie spojrzałem. Zejście z zaśmieconej przełęczy dawało obraz ciężkich zmagania adidasowych trampkarzy ze śliskością mokrego wapienia. Żadnych stopni, wszystko wyslizgane. Moje ciężkie buty też parę razy pojechały. Nawet kijkami trudno się było asekurować. W kilku miejscach na śniegu były małe plamy krwi. Ktoś zostawił na szlaku zwiniętą w kłębek foliową pelerynę. Od mojego wyjścia ze schroniska minęły ponad trzy godziny więc chętnie na niej przysiadłem. Kubek gorącej kawy i pożywna bułka pozwoliły na moment odpocząć od pełnej koncentracji nad każdym kolejnym krokiem. Jeśli tutaj była taka ślizgawka, to co musiało się dziać na łańcuchach pod Giewontem.

Dolinę znowu zaczynała wypełniać przedwieczorna mgła więc poszedłem dalej. Nikogo nie spotkałem do samego schroniska. Pora już była późna i kiedy wszedłem do jadalni zastałem tam tylko dwoje turystów pakujących resztę prowiantu po posiłku. Przyszli od Małej Łąki i zajęło im to całe popołudnie. Postanowili zanoć w schronisku. Już po kilku zdaniach okazało się, że pochodzimy od tej samej mały.

Ucieszyłem się. Nie lubię tłoku, ale drugi z kolei samotny wieczór w schronisku to przesada.

Schroniskowe dziewczyny starły podłogę i zabrały się do mycia boazerii. Za kilka godzin rozpocznie się przecież kolejny dzień obsługi ruchu turystycznego w Dolinie Kondratowej.

Gdy po skończonej kolacji dopijaliśmy herbatę, schroniskowa radiostacja rozszczękała się licznymi głosami. Szukali kogoś na Gąsienicowej – facet podobno szedł z grupą przez Zawrat do Piątki, ale przy Czarnym Stawie Gąsienicowym osłabł, został sam i nie pojawił się w umówionym miejscu. Sprawdzili już cały szlak, ale nic nie znaleźli. Robiło się ciemno i kolejne patrole ratowników zgłaszały raporty oraz

odbierały kolejne dyspozycje. Bez trudu rozpoznawaliśmy znajomy głos prowadzącego akcję. W opustoszałym schronisku tylko cienkie drewniane ściany nieco tłumiły mocne słowa zmęczonych topowców. Wzywali posiłki do nocnej akcji poszukiwawczej. Mieli do spenetrowania drogę Pod Fajki i całą Dolinę Kozią. Grupa z Pięciu Stawów wychodziła do Doliny Pustej. Ustalali kto ma sprawdzić Roztokę, Jaworzynkę i Skupniowy Uplaz.

Owinięci w koce siedzieliśmy na pryzkach przerywając ciche rozmowy, gdy tylko z głośników dobiegały ostre, metaliczne głosy. Ogarniało nas przygnębiające przerażenie... na jakim ogromnym terenie trwają poszukiwania.

Gdybyśmy byli w tamtych schroniskach pewnie zgłosilibyśmy akces do pomocy w akcji, ale z tej odległości mogliśmy tylko nasłuchiwać. Płynęła więc nocna Polaków rozmowa o górach, wędrówkach, ale też o samobójcach na górskich ścieżkach.

No bo jakie myśli mogą przychodzić do głowy doświadczonym turystom górskim, gdy oglądają to co sam widziałem tego dnia na Kondratowej. Nie były to wcale odosobnione wypadki. Ja i moi rozmówcy od wielu lat obserwujemy przecież tysiące przykładów ignorancji u uczestników górskich wycieczek.

Rano okazało się, że zwłoki szukanego faceta znaleźli na Gąsienicowej. Zamarzł w płytkim śniegu na skraju kosówek w odległości piętnastu metrów od szlaku i dwudziestu minut drogi od schroniska. Ubrany był w adidas, jeansy, poliestrowy sweter z golfem i krótką skórzaną kurtkę bez kaptura. Znaleźli przy nim reklamówkę z resztką coli i pustą torebką po chipsach. Miał dwadzieścia siedem lat.

.....
Niemał sto lat wcześniej, kiedy nie było jeszcze w Tatrach murowanych schronisk, niemał w tym samym miejscu, niemał równie młody człowiek zginął porwany przez lawinę.